

Teksty Drugie 1991, 3 , s. 153-157



Pamięci Stefana Żółkiewskiego

Alina Brodzka, Jan Kordys

Pamięci Stefana Żółkiewskiego

Danych z biografii Stefana Żółkiewskiego starczyłoby na kilka życiorysów. Gdyby przypadł Mu inny kraj i inny czas, mówilibyśmy zapewne — tylko albo aż — o uczonej wielkiego formatu, o Jego pasjach metodologicznych, dążeniu do unowocześnienia humanistyki i scalenia jej z wiedzą współczesną. Ale urodził się tutaj, w Warszawie, w 1911 roku. Był dzieckiem, gdy w nastrojach społecznych dominowała radość z dwukrotnie zdobytej niepodległości, radość gospodarowania na swoim. Pierwsze Jego dojrzałe doświadczenia naznaczyła już zapaść wielkiego kryzysu, napięcia konfliktów społecznych, wzrastające skłócenia narodowościowe, doroczna hańba burd antysemickich — na uczelniach, a także gdzie indziej. Mógłby być wybrać „czystą naukę”, albo przynajmniej nie wyjść poza Legion Młodych (a był w nim blisko rok) i nikt dzisiaj nie miałby pretensji, że swą wspaniałą inteligencję i rabelaisowski dynamizm związał z ideologią skłaniającej się wówczas do komunizmu lewicy, która po drugiej wojnie stała się instytucjonalnie zwycięska.

Kiedy jednak w latach trzydziestych, jako student, nauczyciel, krytyk, chłonał inspiracje Koła Wiedeńskiego, propozycje rosyjskiej szkoły formalnej, „rewolucji fonologicznej” w językoznawstwie, gdy szukał logicznych uzasadnień postępowania poszczególnych dyscyplin humanistycznych, a w perspektywie: ich współdziałania w kompleksowej wiedzy o kulturze, miał oczy otwarte na otaczający Go świat a zarazem jakże nie chciał być katastrofistą! I wówczas, spotkanie z marksizmem a przede wszystkim z jego hipotezą historyzmu, wyjaśniającą, jak sądził, najcelniej przebiegi procesów dziejowych, stało się dla niego, i pozostało, wielką przygodą intelektualną i zarazem społeczną nadzieją: emancypacji warstw nizinnych, dezalienacji wykorzenianych, demokratycznego obcowania wyzwolonych współtwórców kultury.

Nietrudno dziś sztydzić z tej nadziei, gdy wiadomo, jak przechwycona została przez nowomowę i praktykę działania państw zwycięskiego lub wdrażanego komunizmu; równie łatwo dziwić się dziś złudzeniom innych

komunizujących intelektualistów — w Polsce, Europie, świecie, u schyłku dwudziestolecia i w czasie drugiej wojny, do połowy lat pięćdziesiątych, a i dłużej. Jednakże pospieszne reakcje nie zastąpią gruntownej analizy warunków, motywacji i przebiegu dramatycznej ewolucji tych postaci: indywidualnych wariantów ich deziluzji, ale też i trwałej ich wierności marzeniom, na przykład o równych szansach startu i uczestnictwa w kulturze. Stefan Żółkiewski te marzenia zachował.

Był bowiem inteligentem—społecznikiem w charakterystycznym dla naszej kultury sensie: był nim już w działalności studenckiej i w przedwojennym ruchu nauczycielskim, i w czasie wojny, gdy uczył, publikował — i ocalał ludzi potrzebujących ratunku — pisze o tym profesor Libera. Był też Stefan Żółkiewski społecznikiem, gdy jako „człowiek podziemny” politycznie wybierał mało popularną konspirację PPR-u.

Tak uformowany wszedł w życie mojego rocznika w drugiej połowie lat czterdziestych. Byłam licealistką i redaktora „Kuźnicy”, dyskutanta z Klubu Pickwicka, a cóż dopiero działacza politycznego bardzo wysokiej rangi, znałam wówczas z wystąpień publicznych i słynnych perswazyjnych artykułów. I otóż Żółkiewski przyjął zaproszenie naszej klasy (w szkole im. Konopnickiej w Łodzi): przyszedł, żeby podjąć dyskusję, czy warto wierzyć nowej władzy. W tej dyskusji był zaprzeczeniem stereotypu dogmatyka i nuworysza ideologii: żadna Jego odpowiedź nie była szablonowa, żadnej obawy nie pominął lekceważeniem; jeżeli nas o czymś przekonywał, to przede wszystkim o tym, że humaniści są społeczeństwu niezbędni, że mamy własne głowy i powinniśmy je forsownie używać, że wreszcie i od nas zależy, żeby w polityce kulturalnej walczyć na argumenty. Jeszcze wierzył, że wojna domowa nie zaważnie na długo domeną kultury, że u nas będzie inaczej niż w Rosji po rewolucji; mówił to *expressis verbis*, pytania były również jawne. Z perspektywy następnych lat mogło się to wydawać nierealne. Kontredans jaki z Nim wiodły najwyższe czynniki „decydentów” (PPR-u, a potem PZPR-u), niemal od razu po wojnie, bo już od 1946 roku, był zaiste zdumiewający: to występował jako czołowy eksponent partyjnych tez dotyczących wdrażania socrealizmu, „przebudowy” kultury i nauki, to znowu przestawał nim być, zwiężało się radykalnie pole Jego publicznej działalności: ciągle wystawał ze sztanc, nawet wówczas, gdy próbował je racjonalizować w formułach polityki kulturalnej, w walce z „burżuazyjnym literaturoznawstwem”.

Z nami — pierwszym „własnym” rocznikiem studentów na Uniwersytecie Warszawskim, pierwszą grupką stażystów i asystentów w nowo powstałym Instytucie Badań Literackich; Stefan Żółkiewski był sobą w pełni: w swych namiętnościach polemicznych i nadziejach, w gargan-

tuicznej łączności intelektualnej, w niebywalej hojności nauczycielskiej i postawie nie zasłużonego przez nas partnerstwa. Można byłoby przypuszczać, że sprawiała to sytuacja wyjątkowa, bo przecież ufał, że będzie z nami w przyszłości realizować swoje długoletnie marzenia inspirowane kontaktami z Wóycickim, Łempickim, Jakobsonem, Kridlem, z przyjaciółmi z Warszawy i Wilna, z Troczyńskim, którego wysoko cenił przy całej odmienności zapatrywań. Ale okazało się, że dla wszystkich pokoleń swych uczniów pozostał tak samo hojny; choć odchodzili od Niego w różne strony, albo od razu skakali Mu do oczu, w przedziwny sposób uważał, że to On stale jest ich dłużnikiem, bo od nich, młodych, zależy przyszłość wiedzy o kulturze.

W Instytucie, który w politycznych realiach lat 1948–1956 mógł tylko w pewnym stopniu odpowiadać wizjom badań wysnutym z tradycji prekursorów strukturalizmu, nowoczesnych badań systemowych, w Instytucie, który niewątpliwie składał świadomościową daninę wulgaryzacji i naiwnościom pseudosocjologicznej metody, gromadziło się jednak wielkie bogactwo różnorodnych pomysłów i dokonań: historyczno- i teoretycznoliterackich, dokumentarnych, wersologicznych, słownikowych; patronowała im piękna Plejada: Mayenowa, Wyka, Budzyk, Kott, Mikulski, i najstarsi z „młodych”. W tych latach Stefan Żółkiewski inspirował zwłaszcza przyszłych historyków idei — rozmaitych epok historycznych, ileż jednak podsunął lektur i odsłonił perspektyw poznawczych miłośnikom analizy formalnej, gdy „formalizm” był złowieszczą obelgą!

Po polemicznych pracach metodologicznych, z których gorsetu sam szybko wyrósł, po studiach historycznoliterackich i krytycznych, które wzbudzały ciekawe dyskusje, krystalizować się zaczyna w kilku fazach, od połowy lat sześćdziesiątych, staro-nowa domena zainteresowań Żółkiewskiego: prace rozpoznające szanse integracji dyscyplin humanistycznych doprowadziły Go stopniowo do koncepcji badań kultury literackiej. Rozwijać problematykę integracyjną pomógł Mu walnie odwet organizatorów pogromów marcowych, których rozwścieczył nazywając ich Falangą — i pozostając, wbrew władzom, przy studentach.

Trzeba było widzieć Go w Marcu, w akcjach na Uniwersytecie, gdy próbował zorganizować wystąpienie Senatu, albo — gdy rycząc jak lew — kroczył w stronę Białego Domu. Warto było również popatrzeć, jak zażarcie wziął się do roboty, której efektem stało się ukonstytuowanie nowej dziedziny wiedzy. W swej koncepcji kultury literackiej jako obszaru społecznej komunikacji, wyodrębnionego wśród innych regionów obcowania poprzez znaki, próbował — z wyobraźnią metodologiczną, z imponującą dokumentacją — połączyć historyzm marksistowski

i nowoczesne techniki badawcze wielu dyscyplin wiedzy o kulturze pojętej szeroko, antropologicznie, jako całokształt praktyk komunikacyjnych. Napisał kilka książek pionierskich i dziesiątki rozpraw—propozycji, tworząc w nich i krystalizując nowy repertuar pojęć; wprowadził do myśli naukowej terminy dotyczące typu i stylu kultury, jej instytucji, modeli funkcjonalnych i obiegów. Zainicjował rozległe badania, realizowane przez indywidualności i zespoły, szukał komplementarnej współpracy z filologami, badaczami poetyki, ale przede wszystkim kierował swą uwagę ku nowym horyzontom i zadaniom: semiotycznej integracji badań na całym obszarze kultury, integracji wymagającej już „trzeciego wykształcenia”.

*

W tym tworzącym się dopiero wzorcu myślenia humanistycznego potrzebna okazała się nie tylko znajomość językoznawstwa (przypomnijmy zapowiedź: młodzieńczy *Powrót do Itaki*, 1938), antropologii, cybernetyki, która pozwoliła Mu tak twórczo wykorzystać koncepcję Batesona do opisu zjawisk kultury, ale także znajomość psychologii procesów poznawczych oraz biologicznych podstaw myślenia. Ten swoisty eklektyzm w badaniu kultury, przy dobitnie sformułowanych sympatiach i antypatiach metodologicznych, wynikał w Jego pracach nie tylko z otwartości samej semiotyki, lecz także z wyraźnego widzenia zarówno zalet metody strukturalno-semiotycznej, jak i jej ograniczeń. To pasja naukowca, ciekawość połączona z uczestnictwem w tworzeniu nowych hipotez umożliwiały Mu wykraczanie poza poszczególne dyscypliny, by dostrzegać w każdym tekście kultury nie tylko jego oryginalność, ale i prawidłowości, którym podlega.

Dwoistość ta była charakterystyczna dla Jego myślenia o kulturze jako grze wolności realizującej się, na przykład, w twórczości artystycznej i ograniczeń narzucanych przez systemy znakowe. Ten drugi biegun — to obiektywny porządek kultury opisywany w kategoriach modeli, funkcji rzeczowych i semiotycznych, cyrkulacji tekstów. Podobnie, choć w innym wymiarze interesowały Go przebiegi długiego trwania, zjawiska powtarzalne pozwalające na tworzenie typologii. Co najmniej równie ważna była jednak dla Niego dynamika kultury, procesy niosące zmiany lub otwierające drogę temu, co nowe. Widać to w Jego pracach poświęconych kulturze narodowej, w których łączyły się (odmiennie w różnych okresach) Jego pasje społecznika i naukowca.

Uczestniczył w próbach modelowania rozwoju cywilizacyjnego Polski, przewidywania skutków rewolucji technologicznej i szerokiego dostępu do wytworów kultury. Inny, późniejszy motyw badawczy — to poszukiwanie źródeł współczesnej kultury polskiej, rodowodów inteligencji,

znaczenia rewolucji 1905 roku, opisywanych aby ogarnąć różnorodność kultury ponad podziałami, pokazać rolę ruchów o różnych orientacjach światopoglądowych.

Zostały Jego książki, krążą Jego inspirujące pomysły. Ale pusto bez Jego postaci.

*Alina Brodzka
i Jan Kordys*